

KRZYSZTOF POMIAN

O AUTONOMII UNIwersYTETU

Wykład
WYGŁOSZONY PRZEZ PROFESORA KRZYSZTOFA POMIANA
Z OKAZJI NADANIA 24 MAJA 2017 R.
DOKTORATU HONOROWEGO UNIwersYTETU ŁÓDZKIEGO
WRAZ Z LAUDACJĄ, RECENZJAMI
I BIBLIOGRAFIĄ PRAC AUTORA



WYDAWNICTWO
UNIwersYTETU
ŁÓDZKIEGO

OFICyna WYDAWNICZA
EPIGRAM

Redakcja naukowa
prof. dr hab. Rafał Stobiecki

Fotografia
Maciej Andrzejewski

Skład i opracowanie edytorskie
Oficina Wydawnicza Epigram

WUŁ ISBN 978-83-8142-993-1
OWE ISBN 978-83-66355-78-3

© Copyright by Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2020
© Copyright by Oficyna Wydawnicza Epigram, Bydgoszcz 2020

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego
ul. Williama H. Lindleya 8, 90-131 Łódź

Oficina Wydawnicza Epigram
ul. Jana Bielawskiego 1/17, 85-796 Bydgoszcz

Druk i oprawa:
TOTEM.COM.pl

SPIS TREŚCI

	7
<i>Wprowadzenie</i> – Rafał Stobiecki	
	13
Krzysztof Pomian, <i>O autonomii uniwersytetu</i>	
Laudacja Promotor doktoratu <i>honoris causa</i> – prof. dr hab. Elżbieta Jung	25
Prof. dr hab. Jacek Migasiński, <i>Recenzja dorobku prof. Krzysztofa Pomiana</i>	29
Prof. dr hab. Jan Pomorski, <i>Opinia w sprawie nadania przez Uniwersytet Łódzki doktoratu honoris causa Krzysztofowi Pomianowi</i>	37
Prof. dr hab. Rafał Stobiecki, <i>Recenzja dorobku prof. Krzysztofa Pomiana w związku z wnioskiem o nadanie tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Łódzkiego</i>	47
Bibliografia prac Krzysztofa Pomiana 1953–2019 (przygotował Jacek Krawczyk)	55

WPROWADZENIE

Możność spełniania właściwych Uniwersytetowi zadań jest uwarunkowana jego bezwzględną duchową niezależnością. Duchową – bo materialnie Uniwersytet, o ile nie stoi o własnych siłach, będzie zawsze zależny od tego czynnika, który mu daje finansowe podstawy istnienia i wyposaża go w środki do pracy. Ale ci, co Uniwersytety fundują i utrzymują, dowiedliby zupełnego niezrozumienia istoty Uniwersytetu, gdyby chcieli w czymkolwiek krępować jego pracę, z góry zastrzegać się przeciw pewnym jej wynikom, wskazywać, jakie rezultaty byłyby pożądane. I gdyby nawet wyniki pracy naukowej Uniwersytetu były niemiłe tym, którym on zawdzięcza swój byt, nie wolno by w tym upatrywać uprawnień do nakładania mu jakichkolwiek więzów, do stosowania jakichkolwiek ograniczeń. Albowiem badania naukowe rozwijać się i owoce nieść mogą tylko wtedy, gdy nie są niczym krępowane ani zagrożone.

Kazimierz Twardowski, *O dostojęństwie uniwersytetu*¹

Dwudziestego czwartego maja 2017 r. na Uniwersytecie Łódzkim odbyła się szczególna uroczystość. Władze UŁ na wniosek Wydziału Filozoficzno-Historycznego i Wydziału Filologicznego wyróżniły tytułem doktora *honoris causa* Profesora Krzysztofa Pomiana². Niniejsze wydawnictwo, w zamyśle jego inicjatorów, rości sobie skromne pretensje do zostawienia symbolicznego śladu po tym wydarzeniu, a także do przypomnienia tekstu wykładu Profesora *O autonomii*

¹ Tekst wykładu wygłoszonego przez K. Twardowskiego z okazji wręczenia mu w 1933 r. doktoratu honorowego Uniwersytetu Poznańskiego.

² Szczegółowa relacja z tej uroczystości znajduje się na stronie Uniwersytetu Łódzkiego: www.uni.lodz.pl/aktualnosc/szczegoly/universytet-wczoraj-i-dzis-wyklad-prof-krzysztofa-pomiana (dostęp: 30.11.2019).

uniwersytetu. Mimo upływu czasu, sędzę, że wyrażone w nim uwagi o historii uniwersytetu, a także niepokoje dotyczące jego przyszłości, nie straciły na aktualności. W dobie, toczących się również w Polsce, gorących sporów, jak uczelnie winny reagować na przemiany współczesnego świata, głos Krzysztofa Pomiana wydaje się szczególnie ważny. To głos pełnoprawnego uczestnika XX-wiecznej *Respublica Litteraria*. Uczestnika świadomego swojej roli, reprezentującego intelektualny świat Europy Środkowo-Wschodniej, ale także od początku lat 70. ubiegłego wieku badacza biorącego udział w międzynarodowym życiu naukowym; wykładowcy czołowych uniwersytetów europejskich, wieloletniego dyrektora Muzeum Europy w Brukseli.

Krzysztof Pomian zastanawia się nad kondycją współczesnego uniwersytetu. Wychodząc od zaprojektowanego przez Wilhelma von Humboldta wzoru uczelni berlińskiej, pisze:

[...] milczącą przesłanką takiego określenia autonomii uniwersytetu było uznanie nauki za oddzieloną od gospodarki i polityki swego rodzaju grodzią wodoszczelną taką, jak ta, co ma oddzielać fakty od wartości, stwierdzenia od ocen, opisy od norm. Toteż dopełnieniem swobody badań i obwieszczenia *ex cathedra* ich wyników było powstrzymanie się od zajmowania stanowiska wobec konfliktów w życiu publicznym.

Jego zdaniem, utrzymanie takiej formuły uniwersytetu obecnie nie jest możliwe. Nie znaczy to jednak, że jako społeczność akademicka nie jesteśmy zobowiązani do obrony autonomii uczelni. Wśród zagrożeń współczesnych Pomian wymienił: presję rynku, oddziaływanie mediów, wreszcie działania polityków. Uczony jest przekonany, że obrona idei autonomii nie może być tylko sprawą rektorów i dziekanów. Podkreślił, że „musi angażować całą wspólnotę uniwersytecką”, ale także opinię publiczną,

[...] albowiem nie jest działaniem w wąsko pojętym interesie korporacyjnym. Ma na względzie dobro ogółu. Autonomia uniwersytetu jest potrzebna wszystkim, stanowi bowiem jeden z kamieni węgielnych demokracji.

Lektura wygłoszonego w Łodzi wykładu, podobnie jak w przypadku innych tekstów Pomiana, pozwala delektować się Jego stylem, pełnym dystansu do przywoływanych wydarzeń, pozornie pozbawionym emocji, niekiedy ironicznym. To styl zarazem dociekliwego uczonego, jak i zatroskanego o sprawy publiczne obywatela.

Wprowadzenie

Prezentowana Czytelnikowi publikacja, poza tekstem wspomnianego wykładu, zawiera także laudację prof. Elżbiety Jung, promotorki doktoratu, oraz recenzje autorstwa profesorów – Jacka Migasińskiego z Uniwersytetu Warszawskiego, Jana Pomorskiego z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej i piszącego te słowa. Całość dopełnia najbardziej aktualna bibliografia prac Profesora doprowadzona do roku 2019.

Za życzliwość wobec tej inicjatywy wydawniczej chciałbym serdecznie podziękować kanclerzowi UŁ dr. Rafałowi Majdzie, dziekanowi Wydziału Filozoficzno-Historycznego prof. Maciejowi Kokoszce oraz dr. Grzegorzowi A. Dominiakowi z Oficyny Wydawniczej Epigram. Wyrazy wdzięczności kieruję także pod adresem Wydawnictwa Uniwersytetu Łódzkiego.

Rafał Stobiecki

O AUTONOMII UNIwersYTETU

Magnificencjo, Wysoki Senacie, Drodzy Koledzy,
Drodzy Studenci, Szanowni Państwo.

Zanim przejdę do właściwego wykładu, pragnę z całego serca podziękować Senatowi Uniwersytetu Łódzkiego oraz mojej promotor, pani profesor Elżbiecie Jung, i recenzentom, panom profesorom Jackowi Migasińskiemu, Janowi Pomorskiemu i Rafałowi Stobieckiemu, za to najbardziej zaszczytne dla każdego nauczyciela akademickiego i pracownika naukowego wyróżnienie, jakim jest doktorat *honoris causa*. Wyróżnienie, które skłania do pokory, gdyż przypomina, acz z innym niż pierwotne znaczeniem, słynne słowa Bernarda z Chartres: *Sumus quasi nanos gigantium humeris insidentes*. A zarazem wyróżnienie dla mnie szczególnie miłe z uwagi na uczelnię, która je przyznała i na miasto, w którym przebywamy.

Na mojej mapie uczuciowej bowiem Łódź splata się nierozłącznie z Warszawą. I to od sześćdziesięciu z górą lat. Łodzi zawdzięczam żonę, a dzięki niej – inicjację w łódzką historię i kulturę: zwiedzanie familoków i pałacyków fabrykanckich, wizyty w teatrze na historycznych już spektaklach Kazimierza Dejmka i w Muzeum Sztuki, z którym dodatkowo połączył mnie później Ryszard Stanisławski. Zaś Uniwersytet Łódzki znalazł się w moim polu widzenia, gdy jeszcze chodziłem do szkoły. Jego pierwszy rektor, Tadeusz Kotarbiński, był nauczycielem mojego ojca i postacią kultową w moim domu, nim został moim z kolei profesorem. W pierwszych latach powojennych wykładali tu Stanisław i Maria Ossowsky, przyjaciele mojego ojca z seminarium Kotarbińskiego, znani mi od dziecka, i tu studiował Leszek Kołakowski, mój późniejszy promotor i przyjaciel. Inny z moich najbliższych przyjaciół, Stefan Amsterdamski, był tutaj profesorem

do marca 1968 roku. Nie będę wydłużał tej listy. To, co powiedziałem wystarczy, by uzasadnić moją szczególną wdzięczność wobec Uniwersytetu Łódzkiego za włączenie mnie do znakomitego grona jego obecnych, przeszłych i przyszłych pracowników, absolwentów i doktorów *honoris causa*.

*

Uniwersytet jako wspólnota nauczycieli i studentów stoi dziś wobec wyzwań, których podjęcie wymaga przemyślenia od podstaw treści i toku nauczania, by dokonać w nich odpowiednich zmian. Wymienie tylko te wyzwania, które zdają mi się najważniejsze. Są to:

- powszechne dążenie do posiadania dyplomu wyższej uczelni umożliwione umasowieniem szkolnictwa podstawowego i średniego w odpowiedzi na postępy demokracji i przemiany sfery produkcyjnej, gdzie naga siła ustępuje inteligencji i kwalifikacjom;
- upowszechnianie się komputerów o coraz pojemniejszej pamięci, coraz większej prędkości przetwarzania coraz liczniejszych i bardziej różnorodnych danych, coraz lżejszej wadze, i coraz niższej cenie, czemu towarzyszy rozbudowa internetu, bez którego w krajach rozwiniętych nie sposób już wyobrazić sobie życia;
- zmiana stosunku między kulturą a gospodarką spowodowana burzliwym rozwojem mediów: przemysłów kulturowych, które wytwarzają, przetwarzają, powielają i udostępniają przedstawienia obrazowe i dźwięki;
- rosnąca rola kryteriów rynkowych w dziedzinach, które dotąd były czy zdawały się być od nich niezależne, a dziś muszą się w coraz większym stopniu z nimi liczyć; dotyczy to m.in. kultury i oświaty;
- europeizacja i globalizacja szkolnictwa wyższego: program „Erasmus”, ujednoczenie w skali europejskiej toku studiów, umiędzynarodowienie konkurencji uczelni o najzdolniejszych studentów i najwybitniejszych nauczycieli, zwłaszcza w dziedzinach newralgicznych takich, jak np. informatyka;
- pojawienie się i rozprzestrzenianie fundamentalizmów czy integryzmów: ideologii antymodernizacyjnych, w tym zwłaszcza – antyświeceniowych, ekstremistycznych, au-

torytarnych, jeśli nie totalitarnych, które rzekomo bronią tradycji, a w istocie dążą do rewolucji, podają się za religię i obiecują zbawienie wieczne, a w rzeczywistości stawiają sobie cele najzupełniej doczesne: zdobycie władzy i przerobienie społeczeństwa na swoją modłę.

Każda z tych tendencji z osobna zasługiwałaby na roczny wykład. Tu mogę je tylko wymienić, by włączyć je później do refleksji nad autonomią uniwersytetu, czyli najogólniej, nad zakresem swobody określania przezeń zasad swego funkcjonowania, a zatem również – nad jego stosunkami ze światem zewnętrznym.

1.

W swej ponadtysiącletniej historii uniwersytet był już w sytuacji podobnej do tej, w jakiej jest dziś. Działo się tak w stuleciach XVII–XVIII, gdy musiał on dostosować się do postępującej z różną prędkością w różnych krajach modernizacji społeczeństw europejskich: ich sił zbrojnych, administracji, gospodarki, obyczajów, szkolnictwa, kultury i wiedzy. Jej przejawem szczególnym, ale z punktu widzenia uniwersytetu najważniejszym, była ta kaskada innowacji, którą zwykło się określać umownie mianem „rewolucji naukowej”. Wprowadziła ona niewyobrażalne dawniej zabiegi poznawcze: badanie przyrody aparaturą obserwacyjną i pomiarową, a dziejów ludzkich za pośrednictwem krytycznie traktowanych źródeł – i radykalnie odnowiła samo rozumienie wiedzy, wynosząc na szczyt tę, która daje się sformułować w języku matematyki. Co prawda, już w XV wieku nowe wymagania postawił uniwersytetowi humanizm, gdy rozpałił zainteresowanie starożytnością klasyczną i biblijną, z ich językami: łaciną, greką i hebrajskim, a zarazem wprowadził nowe wzorce wychowawcze i nowe metody nauczania. O ile jednak humanizm stopniowo przeobraził do gruntu szkolnictwo średnie, o tyle uniwersytet mógł spełnić jego wymagania za cenę zmian lokalnych: stworzenia katedr filologii greckiej i orientalnej, starożytnictwa, historiografii. A i to wiele uczelni stawiało im skutecznie opór. Modernizacja, a w jej ramach rewolucja naukowa, narzuciły zmiany globalne: doprowadziły do zerwania ciągłości – innej niż zachowanie pewnych tradycji – między uniwersytetem średniowiecznym a uniwersytetem nowożytnym.

Modernizacja bowiem przekształciła uniwersytet z instytucji klerikalnej w instytucję świecką, wyjęła go z gestii Kościoła i poddała

kontroli państwa. Wraz z tym uległy zmianie: sposoby finansowania uczelni; status nauczycieli akademickich, odtąd już nie duchownych, lecz w wielu krajach urzędników państwowych zwolnionych z obowiązku celibatu; nauczanie nastawione teraz na przyszłą służbę absolwentów w administracji publicznej. W krajach protestanckich nastąpiło to wcześniej niż w katolickich, a na kontynencie wcześniej niż w Wielkiej Brytanii, ale wszędzie szło w parze z reorganizacją uczelni i z wprowadzaniem nowych programów i metod nauczania.

Wzrost zróżnicowania, zasięgu i mocy rozdzielczej aparatury obserwacyjnej i pomiarowej, rozkwit matematyki i równoległe przemiany nauk o zbiorowościach i wytworach ludzkich od opisowo-normatywnych „nauk moralnych” do nauk humanistycznych opartych na hermeneutyce – wszystko to zmusiło do zastąpienia dawnego czwórzonowego podziału wiedzy na teologię, sztuki wyzwolone, prawo i medycynę podziałem nowych dyscyplin naukowych na nauki o przyrodzie i nauki o duchu, na *Natur-* i *Geisteswissenschaften*, z filozofią jako łącznikiem, wspólną podstawą, ukoronowaniem albo syntezą, zależnie od autora. Użycie terminów niemieckich jest w tym przypadku najzupełniej uzasadnione. Albowiem wzór uniwersytetu nowożytnego urzeczywistnił się po raz pierwszy, jak wszyscy wiemy, w Uniwersytecie Berlińskim zaprojektowanym przez Wilhelma von Humboldta, choć miał on już przedtem przybliżone realizacje gdzie indziej, zwłaszcza w Getyndze.

Ten wzór uniwersytetu, co trzeba przypomnieć, zakładał studenta wykształconego przez gimnazjum klasyczne – wytwór reform pedagogicznych XVI wieku inspirowanych humanizmem. Samo słowo *gimnazjum* odsyła do tradycji protestanckiej: do programu nauczania Sturma. W krajach katolickich mówiono raczej o *kolegium*, któremu najnowocześniejszą postać nadali jezuita. Różnice wyznaniowe nie wykluczały podobieństw. I tu, i tam, w zakresie przedmiotów świeckich, nacisk padał na naukę łaciny i na przyswojenie sobie przez ucznia najważniejszych pomników piśmiennictwa łacińskiego oraz historii starożytnej; gdzieś do tego greka. Przywiązywano też wagę do matematyki. W XVIII wieku gimnazja i kolegia zaczęły otwierać się na języki potoczne i w każdym kraju na historię ojczystą oraz na nową naukę Galileusza, Kartezjusza i Newtona. Wszystko to wyglądało inaczej w każdym kraju. Ale wszędzie, nawet na obszarze protestanckim, gdzie umiejętność czytania i pisanie była znacznie bardziej rozpowszechniona niż wśród katoli-

ków, gimnazja i kolegia były instytucjami elitarnymi. A uniwersytet miał do czynienia z elitą elity. Jego rolą było zapewnienie regularnego dopływu nowych pokoleń do górnej warstwy elit wiedzy i w coraz większym stopniu – elit władzy. Kształcenie tych, którzy mieli uczyć innych, i tych, którzy mieli innym przewodzić. Elity bogactwa długo nie szukały wykształcenia uniwersyteckiego ani nawet gimnazjalnego. Przedsiębiorczości i kierowania przedsiębiorstwem uczono się w praktyce.

Program Humboldta – pochodny wobec założeń hermeneutyki – wyrastał z przekonania, że zrozumieć dzieła umysłu ludzkiego, twory ducha, to tyle, co umieć odtworzyć je myślowo w sobie. By móc uczyć rozumienia, nauczyciel musi rozumieć to, czego uczy, musi przeto, choćby w skromnej mierze, być współtwórcą przekazywanej przez siebie wiedzy, a nie tylko kimś, kto podaje do pamięciowego opanowania wiedzę, którą sam przyswoił sobie w postaci gotowej. Wedle Humboldta wiedza, jak język, to nie *ergon*, ale *energeia*. Innymi słowy, nauczyciel akademicki musi być zarazem uczonym. Nauczanie uniwersyteckie winno być nieodłączne od pracy badawczej, a opanowywanie wiedzy – od wzbogacania jej, początkowo na poziomie wstępnym, później, stopniowo, coraz wyższym. Miejscem, gdzie ten ideał realizuje się w całej pełni, jest zatem nie tyle wielka aula ze zgromadzonymi tam słuchaczami, ile sala seminaryjna czy laboratorium z małą grupą studentów, którzy starają się razem z nauczycielem rozwiązywać problemy badawcze i przyswajają sobie przeto wiedzę w trybie współtworzenia jej. Łatwo zauważyć, że tego rodzaju nauczanie możliwe jest tylko w uniwersytecie elitarnym. Stawia ono bowiem bardzo wysokie wymagania zarówno nauczycielom, jak studentom, którzy muszą być niezbyt liczni, by każdy mógł uczestniczyć aktywnie w seminariach lub pracować w laboratorium.

Tak zaprojektowany uniwersytet dysponuje z założenia znaczną autonomią w nawiązaniu do wielowiekowej tradycji, która ulega wszelako istotnym przeobrażeniom. Uniwersytet dawnego ustroju, jak każda korporacja, był ciałem autonomicznym: wybierał swe władze i sam rozstrzygał swe problemy tak dalece, że żacy byli zazwyczaj wyjęci spod jurysdykcji miejskiej; karać ich miały prawo tylko władze uczelni. Zarazem jednak uniwersytet dawnego ustroju nie miał żadnej autonomii w zakresie nauczanych przedmiotów i głoszonych poglądów. Sto lat walczono, by uczynić z dzieł Arystotelesa

podstawę nauczania; znacznie dłużej, by je tej roli pozbawić. Wszystkich potępień i zakazów, jakie spadły na awerroistów, ockhamistów, astrologów, a później na rzeczników nowej filozofii i nowej nauki, wyliczyć tu nie sposób. Inaczej zresztą być nie mogło w społeczeństwie, które nie znało swobody sumienia i swobody słowa.

Pracownicy nowożytnego uniwersytetu i jego studenci poddani są prawu powszechnemu, choć dawne zwyczaje umierały długo. Atrakcją turystyczną Heidelbergu jest więzienie, czynne ponoć do pierwszej wojny światowej, gdzie z wyroku rektora zamykano o chlebie i wodzie studentów, którzy naruszyli zakaz pojedynkowania się. Było to już tylko kuriozum. Albowiem obok wybieralności władz uczelni na wszystkich szczeblach, zarządzania przez nią jej majątkiem, rozstrzygania jej wewnętrznych problemów, stanowienia i egzekwowania zasad ważnych na jej terenie, nadawania stopni i tytułów – zasadniczą treścią autonomii nowożytnego uniwersytetu jest prawo decydowania o kierunku prowadzonych badań i wolność głoszenia poglądów uznanych za naukowo uzasadnione, nawet gdy przeczą, jak wyniki krytyki biblijnej, stanowisku Kościołów, czy podważają, jak krytyka historyczna, mity i legendy rzekomo korzystne dla narodu bądź dla państwa. Milczącą przesłanką takiego określenia autonomii uniwersytetu było uznanie nauki za oddzieloną od gospodarki i polityki swego rodzaju grodzią wodoszczelną taką, jak ta, co ma oddzielać fakty od wartości, stwierdzenia od ocen, opisy od norm. Toteż dopełnieniem swobody badań i obwieszczenia *ex cathedra* ich wyników było powstrzymywanie się od zajmowania stanowiska wobec konfliktów w życiu publicznym.

W historii uniwersytetu druga połowa XIX wieku to okres rozprzestrzeniania się wzorca berlińskiego w Europie i w Stanach Zjednoczonych i dostosowywania go do różnych tradycji narodowych. To zarazem okres triumfu podejścia statystycznego w badaniu przyrody i stosowania go w rosnącej mierze do zbiorowości ludzkich, co zmieniło oblicze fizyki i biologii, i doprowadziło do ukształtowania się nauk społecznych: socjologii, demografii, ekonomii, historii gospodarczej. Ich wejściu do nauczania uniwersyteckiego towarzyszyły ostre spory filozoficzne; podobne spory towarzyszyły innym zastosowaniom podejścia statystycznego: teorii ewolucji, termodynamice, genetyce.

Druga połowa XIX wieku była nadto okresem szybkiej ekspansji szkolnictwa podstawowego i zaniku analfabetyzmu w Europie,

z wyjątkiem kresów południowych i wschodnich, oraz rozbudowy szkolnictwa średniego wzbogaconego o gimnazja realne, które kładły nacisk na wiedzę przydatną w działalności gospodarczej: na matematykę, technikę, języki nowożytny. Równolegle w szkolnictwie wyższym mnożyły się politechniki, szkoły inżynierskie i szkoły handlowe. Niegdyś wyraziste, granice między nauką a techniką ulegały bowiem stopniowo zatarciu, a prowadzenie interesów, zwłaszcza zarządzanie przedsiębiorstwami, wymagało coraz bardziej wiedzy fachowej, której sama praktyka nie była już w stanie dostarczyć.

Wiek XX wprowadził naukę do przemysłu na niespotykaną przedtem skalę, nadał samym badaniom naukowym wymiar przemysłowy, co astronomicznie zwiększyło nakłady, i zmobilizował uczonych do udziału w wyścigu zbrojeń, na czym pośrednio skorzystało również życie cywilne. Wraz z tym autonomia uniwersytetu w wytyczaniu kierunków badań uległa ograniczeniu nawet w krajach demokratycznych w tej mierze, w jakiej odtąd zaczęły o nich współdecydować ciała, które je finansują – agendy państwowe bądź firmy – przy czym dotyczy to nie tylko prac wdrożeniowych i stosowanych, ale także badań podstawowych. Zaś w krajach totalitarnych autonomię uniwersytetu przekreśliły bez reszty założenia ustrojowe stawiające wszystkie instytucje i grupy społeczne w służbę panującej ideologii i realizującej ją partii; podobnie było w państwach autorytarnych, choć uniwersytety miały tam nieco więcej luzu. Dziewiętnastowieczna idea uniwersytetu hermetycznie izolowanego od gospodarki i polityki okazała się ostatecznie tylko chwilowym złudzeniem.

2.

Uniwersytet nowożytny, realizujący gorzej lub lepiej program Humboldta, przetrwał, acz ze zmianami, do ostatnich dziesięcioleci XX wieku; reprezentuje go nadal kilkadziesiąt bogatych lub hojnie finansowanych, ultraselekcyjnych, a zatem wysoce elitarnych uczelni w Europie i w Stanach Zjednoczonych. Są to jednak wyjątki. Regułą jest dziś uniwersytet masowy, zdolny odpowiedzieć na powszechne dążenie do posiadania dyplomu szkoły wyższej. Ma to bardzo daleko idące skutki. W całej Europie, na mocy bolońskiej deklaracji 29 ministrów szkolnictwa wyższego z 1999 roku, tok studiów uległ reorganizacji wedle formuły: 3 – 5 – 8, licencjat – magisterium – doktorat, LMD. Są to rzeczy obecnym doskonale znane. Przypomnę jed-

nak, że ta reorganizacja ma umożliwić przepływ studentów między uczelniami różnych krajów, a zarazem dostosować nauczanie lepiej niż dotąd do potrzeb rynku pracy. Studia licencjackie mają przygotować do zawodu. Magisterskie mają przygotowanie to pogłębić, pozwalając wybranym przejść na piętro doktoranckie, które ma zasilać górne warstwy elit wiedzy: nauczycieli akademickich, pracowników naukowych i badawczych, praktyków nanowszych technologii, kierowników gospodarki.

Czy jednak uniwersytet nowożytny nastawiony na kształcenie niewielkiego, starannie dobranego grona studentów jest w stanie przystosować się do umasowienia bez rezygnacji na poziomie studiów licencjackich, a może nawet magisterskich, ze swych dwóch podstawowych wymogów: łączenia przez nauczycieli dydaktyki z pracą badawczą i przyswajania sobie przez studentów wiedzy w małych grupach w trybie współtworzenia jej? Oficjalna odpowiedź wyklucza taką ewentualność. Wolno jednak mieć mniej optymistyczne zdanie na ten temat. Wydaje się bowiem, że to, co dawniej charakteryzowało uniwersytet jako całość, przejmują teraz studia doktoranckie z liczbą uczestników, która zbliża się do liczby ogółu studentów kilkadziesiąt lat temu; w niektórych krajach już nawet jej dorównuje. Jak widać, program Humboldta nie traci bez reszty swego znaczenia, ale zakres jego stosowalności ulega znacznemu organiczeniu.

Czym ma być autonomia nowego, masowego uniwersytetu? I czy w ogóle ma on prawo pretendować do jakiejś autonomii innej niż ta, jaka przysługuje każdemu przedsiębiorstwu? Pytanie zdawać się może bluźniercze. Wszystkie dokumenty europejskie – *Magna Charta Universitatum* (1988), deklaracja z Sorbony (1998), deklaracja bolońska – powtarzają, jak zakłęcie, słowa *wolność* i *autonomia*, a ostatnia z wymienionych podkreśla, że

[...] niezależność i autonomia uniwersytetów zapewniają systemom szkolnictwa wyższego i badań zdolność stałego dostosowywania się do zmiennych potrzeb, do oczekiwań społecznych i do postępów wiedzy naukowej.

Biurokratyczny tryb narzucenia wyższym uczelniom formuły LMD każe wątpić o zgodności tej wzniosłej retoryki z realiami. Bądźmy jednak wyrozumiali dla ministrów i dla administracji: w XIX wieku wprowadzanie na uniwersytety modelu berlińskiego też odbywało

się pod naciskiem władz nawet w takim kraju jak Anglia. Załóżmy zatem, że chodzi teraz tylko o stworzenie jednolitych, europejskich ram prawnych, w których obrębie uniwersytety zachowają swą autonomię. W jakim zakresie?

Nikt nie neguje chyba autonomii rozumianej tradycyjnie jako samorząd poszczególnych uczelni w ramach powszechnie obowiązujących przepisów. Czy jednak ma ona ograniczać się tylko do tego? Pytanie to otrzymuje różne, by nie powiedzieć: sprzeczne odpowiedzi. Przedmiotem sporu są w szczególności cztery sprawy: kryteria rekrutacji studentów; decydowanie o personelu nauczycielskim: o jego składzie osobowym, stanowiskach, awansach; określanie treści i toku nauczania; wytyczanie kierunków badań naukowych. I tu wracamy do wymienionych na wstępie tendencji charakterystycznych dla współczesnego świata. Każda z nich bowiem – z wyjątkiem upowszechniania się komputerów – stanowi zagrożenie dla szeroko pojmowanej autonomii uniwersytetu i w tym sensie – wyzwanie, któremu musi on umieć sprostać.

Autonomia uniwersytetu zawsze wymagała obrony. Dziś wymaga jej chyba bardziej niż kiedykolwiek, gdyż jest podważana z wielu stron. Przez presję rynku z jego wymogiem rentowności i dostosowania się bez reszty do właściwych mu norm. Przez presję mediów, które usiłują narzucić swą hierarchię ważności problemów i osób. Przez polityków uprawnionych do uchwalania ustaw i decydowania o finansach, czyli o możliwych badaniach, i nierzadko skłonnych widzieć w nominacjach uniwersyteckich jeszcze jeden środek poszerzania swych wpływów i mnożenia klientów. Przez integrizmy wreszcie, które domagają się podporządkowania programów badawczych ustanawianym przez siebie kryteriom, a treści nauczania – wyznawanym przez siebie wierzeniom. Zwycięstwo którejkolwiek z tych sił oznaczałoby śmierć uniwersytetu w tej jego postaci, jaka ukształtowała się dwa wieki temu i nadal w swym zasadniczym zrębie zachowuje aktualność.

Toteż uniwersytet musi stawiać opór każdej z nich z osobna i wszystkim razem, choć musi to robić na bardzo różne sposoby. Z rynkiem trzeba zawierać kompromisy. Każda uczelnia jest przecież również – acz nie tylko! – przedsiębiorstwem w stanie konkurencji z innymi. Jeden z jej produktów, absolwenci, musi znaleźć miejsce na rynku pracy, do którego przemian trzeba się zatem stale dostosowywać. Inny produkt, wyniki badań, może stać się towarem. W tym sen-

się, czy to się nam podoba, czy nie, uniwersytet jest obecny na rynku. Ale działa na nim tym bardziej skutecznie, im mocniej jest osadzony w sferze pozarynkowej. Z mediami uniwersytet winien negocjować, przy czym nie jest tak, by był wobec nich z góry na straconej pozycji. Choć media karmią się głównie sensacją i rozrywką, potrzebują jednak ekspertów zdolnych tłumaczyć wydarzenia i informacje o odkryciach i wynalazkach, zwłaszcza gdy mają one charakter spektakularny, potrzebują też zasobów bibliotek i ikonotek gromadzonych niekiedy od stuleci. A tym wszystkim dysponuje uniwersytet, co daje mu w stosunku do mediów pewną siłę.

Wobec polityków uczelnie winny występować jako solidarna grupa nacisku na rzecz odpowiadających potrzebom uniwersytetu regulacji prawnych i przeznaczenia na jego cele odpowiednich środków. Uniwersytet winien zarazem uniemożliwić wtargnięcie do jego życia wewnętrznego polityki partyjnej. Są miejsca, gdzie społeczeństwo uzewnętrznia swe podziały i konflikty, by rozstrzygać je pokojowo, przekazując tymczasowo władzę kolejnej większości. I są takie, gdzie występuje ono jako jedność. Należy do nich właśnie uniwersytet. Jego dziedziną nie jest polityka. Jest nią wiedza, która rządzi się własnymi prawami. To banał, ale trzeba go stale przypominać w obliczu dążeń do upolitycznienia uniwersytetu, czego destrukcyjne skutki ukazuje bogate w tej materii doświadczenie XX wieku. Toteż tym dążeniom trzeba się zdecydowanie sprzeciwiać. Z równą stanowczością trzeba zwalczać wszelkie próby wprowadzenia na uniwersytet, jawnie lub potajemnie, kryteriów, które chcą narzucić integryzmy religijno-ideologiczne, gdyż ich zwycięstwo cofnęłoby nas do czasów totalitarnego zniewolenia, tyle że nie pod znakiem antyreligijnych ideologii, jak faszyzm, narodowy socjalizm czy komunizm, ale pod znakiem zideologizowanej religii, której przykładów nie musimy – niestety! – daleko szukać. Obrona badań i nauczania przed uleganiem fluktuacjom rynku i medialnym modom, zakusom polityki i polityków, naciskom integrystów wszelkich obediencji – to dziś zasadnicza treść autonomii uniwersytetu, która nie może być przeto sprawą samych tylko rektorów i dziekanów. Musi angażować całą społeczność uniwersytecką.

Musi też angażować opinię publiczną. Albowiem nie jest działaniem w wąsko pojętym interesie korporacyjnym. Ma na względzie dobro ogółu. Autonomia uniwersytetu jest potrzebna wszystkim, stanowi bowiem jeden z kamieni węgielnych demokracji, jak oddzie-

lenie Kościoła od państwa, religii od polityki, jak niezależność władzy sądowniczej od wykonawczej, jak podstawowe swobody obywatelskie: wolność słowa i wolność sumienia, prawo do zrzeszania się, zgromadzeń, strajków oraz prawo do stanowienia o przyszłych losach zbiorowości lokalnej czy całego kraju w trybie wolnych wyborów poprzedzonych walką na argumenty o zdobycie większości głosów między partiami, z których każda prezentuje obywatelom swój program na przyszłość. Te konieczne warunki funkcjonowania demokracji są dziś kwestionowane również u nas jako atrybuty rzekomo przestarzałej demokracji liberalnej. Ale takiej właśnie demokracji trzeba bronić. Albowiem „demokracja nieliberalna”, jak „demokracja narodowa”, „ludowa” czy „socjalistyczna”, to *contradictio in adiecto*. Przymiotnik przeczy tu rzeczownikowi, wyzuwa go z treści, czyni pustym dźwiękiem.

Autonomia uniwersytetu jest potrzebna wszystkim również dlatego, że tylko ona pozwala mu uniknąć zatopienia w terażniejszości i skupić się na przygotowywaniu przyszłości, co jest jego właściwym powołaniem. Mówi się często o bezinteresownym dążeniu do wiedzy, które winno charakteryzować uniwersyteckie badania naukowe i nauczanie. Jest to stwierdzenie innymi słowy tego, że nasze cele jako badaczy i nauczycieli wykraczają poza dzień dzisiejszy, a bywa, że poza jutro czy nawet pojutrze. Że mieszczą się w otwartym czasie następujących po sobie innowacji, których nikt nie jest w stanie przewidzieć. Tylko o tyle, o ile umiał wpisać się w taki otwarty i twórczy czas, uniwersytet jako wspólnota nauczycieli i studentów mógł być w ciągu dwustu minionych lat, choć kataklizmów przecież nie brakowało, przyczynić się w znacznym stopniu do postępów wiedzy i do ogólnego polepszenia jakości życia ogromnych rzesz ludzkich. Tylko o tyle, o ile zdoła utrzymać ten kurs, wbrew wszystkim zewnętrznym perturbacjom, będzie mógł nadal pełnić tę rolę, w której żadna inna instytucja nie jest go w stanie zastąpić.

Dziękuję Państwu za uwagę.

Krzysztof Pomian